

JAKO MIŁUJĄCY POKÓJ OBYWATEL ŚWIATA

Wielebny Sun Myung Moon

ROZDZIAŁ PIERWSZY

POKARM JEST MIŁOŚCIĄ

Słowo wstępne

Przez całą minioną noc bez przerwy padał wiosenny deszcz; nareszcie koniec zimowej suszy!

Ten deszcz tak mnie uradował, że cały ranek spacerowałem po ogrodzie. Ziemia pachniała cudownie zapachem wilgotnej gleby, którego tak brakowało mi zimą, a na sphywających deszczowymi łzami wierzbach i drzewach wiśni ukazywały się już pierwsze wiosenne pączki. Miałem wrażenie, że po prostu słyszę cichy szelest kiełków przebijających się przez ziemię w całym ogrodzie. Zanim się zorientowałem, moja żona, która za mną też wyszła z domu, zebrała młode pędy bylicy, które zdołały już przebić się przez ziemię na suchym trawniku. Nocny deszcz sprawił, że cały świat stał się pełnym zapachów, wiosennym ogrodem.

Niezależnie od tego, ile zgiełku i zamieszania jest na świecie, kiedy kalendarz pokazuje marzec, zbliża się wiosna. Im starszy się staję, tym więcej znaczy dla mnie to, że w przyrodzie zawsze po zimie następuje wiosna, niosąc ze sobą pięknie kwitnące kwiaty. Kimże ja jestem, że Bóg w kolejnych porach roku pozwala kwiatom kwitnąć czy śniegowi padać, tak żebym mógł czuć radość z tego, że żyję? Miłość wzbiera we mnie, wypływa z najgłębszych zakamarków serca i obejmuje mnie całego. Do łez wzrusza mnie to, że wszystko, co posiada prawdziwą wartość, zostało mi dane ot tak, za darmo.

Wiele razy w życiu objechałem glob ziemski, starając się skierować świat ku pokojowi i oto tu, w tym ogrodzie, wiosną, mogę zakosztować prawdziwego pokoju. Pokój został nam dany przez Boga wraz ze wszystkim innym, ale zagubiliśmy go gdzieś po drodze, a teraz całe życie spędzamy szukając go, w dodatku w niewłaściwych miejscach.

Aby przynieść pokój światu, spędziłem całe życie wędrując do miejsc najędniejszych, najbardziej oddalonych. W Afryce widziałem matki, które mogły tylko bezradnie patrzeć, jak ich dzieci umierają z głodu; w Ameryce Południowej spotkałem ojców mieszkających tuż obok rzeki pełnej ryb, którzy jednak nie mogli ich łowić, aby utrzymać rodzinę. Na początku wszystko, co mogłem dla nich zrobić, to po prostu dzielić się z nimi jedzeniem; oni jednak w zamian obdarzyli mnie miłością. I tak upojony potęgą miłości, ruszałem dalej, żeby siać nasiona zbóż i sadzić lasy. Razem łapaliśmy ryby, by nakarmić głodne dzieci, a ścięte drzewa służyły nam do budowy szkół. Czuję się naprawdę szczęśliwy, nawet kiedy byłem cały pogryziony przez komary po nocnym połowie. Byłem szczęśliwy nawet wtedy, kiedy stałem zanurzony po kolana w rzecznej muli, bo widziałem, jak z twarzy moich towarzyszy znika cień rozpacz.

W poszukiwaniu najkrótszej drogi do pokoju światowego poświęciłem się wprowadzaniu zmian w procesach politycznych i zmianie sposobu myślenia ludzi. Spotkałem się z byłym prezydentem Związku Radzieckiego, Michaiłem Gorbaczowem — była to część moich prób pojednania

komunizmu z demokracją. Spotkałem się także z byłym przewodniczącym Kim Il-Sungiem w Korei Północnej, aby poważnie przedyskutować sprawę pokoju na Półwyspie Koreańskim.

Zamieszkałem w Stanach Zjednoczonych w okresie wielkiego upadku moralności; odegrałem tam rolę strażaka gaszącego pożar, próbującego na nowo obudzić w ludziach ducha purytanizmu. Zajmowałem się rozwiązywaniem wielu światowych konfliktów. Szalejący terror nie powstrzymał mnie od podjęcia pracy na rzecz pokoju pomiędzy Arabami i Żydami. Na skutek moich starań tysiące ludzi gromadziło się na wiecach i marszach pokoju, wszyscy razem: Żydzi, Arabowie i chrześcijanie.

Smutne, że ten konflikt nadal trwa. Pokładam jednak nadzieję w tym, że wiek pokoju zostanie niedługo zainicjowany w moim kraju rodzinnym, w Korei. Półwysep Koreański przeszedł przez niekończące się morze cierpień i tragedię podziału, ale czuję każdą komórką mojego ciała, że na ziemi koreańskiej została nagromadzona potężna energia, gotowa w każdej chwili wybuchnąć. Tak jak nikt nie jest w stanie powstrzymać nadejścia wiosny, tak samo żadna ludzka siła nie może zatrzymać niebiańskiego szczęścia, które nadchodzi na Półwysep Koreański i rozszerzy się na cały świat. Ludzie powinni być gotowi, by ruszyć razem z falą niebiańskiego szczęścia, kiedy ono nadejdzie.

Jestem postacią kontrowersyjną. Nawet wspomnienie mojego imienia powoduje problemy na całym świecie. Nigdy nie szukałem majątku ani rozgłosu, a całe życie spędziłem nawołując do pokoju. Jednakże świat powiązał moje imię z wieloma różnymi określeniami, odrzucał mnie i rzucał we mnie kamieniami. Ludzi na ogół nie interesuje, co mówię czy co robię. Po prostu są przeciwko mnie.

Sześciokrotnie w moim życiu byłem niesłusznie więziony: przez Cesarstwo Japonii, w Korei Północnej przez Kim Il Sunga, przez południowo-koreański rząd Syngmana Rhee, a nawet w Stanach Zjednoczonych. Bywałem tak okrutnie bity, że ciało po prostu odchodziło od kości. Dzisiaj jednak w moim sercu nie ma nawet najmniejszej urazy. W obliczu prawdziwej miłości rany goją się zadziwiająco łatwo. Wobec prawdziwej miłości nawet wrogowie znikają. Prawdziwa miłość oznacza dawanie, dawanie i ciągłe pragnienie serca, żeby dawać. Prawdziwa miłość to miłość, która nawet nie pamięta, że już komuś tą miłość dała i daje ją ponownie.

Taką właśnie miłością zaraziłem się na całe życie. Nie chciałem niczego poza miłością i poświęciłem całego siebie, aby dzielić się miłością z moimi ubogimi towarzyszami. Czasami ścieżka miłości była tak trudna, że kolana się pode mną ugięły, ale nawet wówczas czułem radość w sercu, radość z kochania ludzkości.

Nawet teraz jestem przepełniony miłością, którą chciałbym komuś ofiarować. Przedstawiam teraz tą książkę światu wraz z modlitwą, aby owa miłość stała się rzeką pokoju, która napoi wyschniętą ziemię i dopłynie aż na krańce świata.

Ostatnio coraz więcej ludzi pragnie dowiedzieć się o mnie czegoś więcej. Dla tych, którzy są tego ciekawi, postarałem się spojrzeć wstecz na całe moje życie i w tej książce spisałem swoje wspomnienia. Nie znajdziecie tutaj wszystkich historii, które chciałbym opowiedzieć, ale mam nadzieję, że będę miał jeszcze okazję zapoznać was z nimi.

Wielebny Sun Myung Moon „Jako Miłujący Pokój Obywatel Świata”

Przekazuję moją niezmierną miłość wszystkim tym, którzy we mnie uwierzyli, pozostali przy moim boku, swoje życie przeżyli razem ze mną — zwłaszcza mojej żonie, Hak Ja Han Moon, której jestem głęboko wdzięczny za to, że wraz ze mną zdobywała najbardziej strome i niedostępne szczyty.

Wreszcie pragnąłbym wyrazić moją serdeczną wdzięczność panu Eun Ju Park, prezesowi Gimm-Young Publishers Inc., który znalazł w sobie tak wiele serdeczności i poświęcenia w trakcie wydawania tej książki, a także wszystkim w wydawnictwie, którzy pracowali nad redakcją słów, jakie wypowiadałem, tak aby treść — niejednokrotnie bardzo skomplikowana — stała się łatwa do zrozumienia dla czytelników.

Sun Myung Moon, Cheongpyeong, Korea Południowa 1 marca 2009 r.

Kyungju Nampyeong Yeosu Wyspa Jeju

ROZDZIAŁ PIERWSZY

POKARM JEST MIŁOŚCIĄ

Czego się dowiedziałem na temat pokoju, kiedy ojciec nosił mnie na plecach

Całe życie towarzyszyła mi jedna myśl. Chciałem doprowadzić do pokoju światowego, do takiego świata, w którym nie będzie wojen a cała ludzkość będzie obdarzać się wzajemnie miłością. Ktoś może zapytać: „Jak to możliwe, że myślałeś o pokoju, kiedy jeszcze byłeś dzieckiem?” Czy to aż tak zdumiewające, żeby dziecko marzyło o świecie, w którym panuje pokój?

W 1920 roku, kiedy się urodziłem, Korea znajdowała się pod okupacją Japonii. Tuż po wyzwoleniu w roku 1945 zaczęła się Wojna Koreańska, azjatycki kryzys finansowy i mnóstwo innych trudnych sytuacji. Przez wiele lat ziemia koreańska nie zaznała pokoju. Zresztą te czasy cierpienia i zamętu dotyczyły nie tylko Korei. Dwie wojny światowe, wojna w Wietnamie, wreszcie konflikty na Bliskim Wschodzie pokazują, że na całym świecie ludzie stale odnoszą się do siebie wzajemnie z wrogością, strzelają do siebie, bombardują się nawzajem. Prawdopodobnie dla tych, którzy widzieli tak straszne rzeczy, jak krwawiące ludzkie ciała i połamane kości, pokój jest czymś, o czym można tylko pomarzyć. A jednak pokój nie jest wcale trudny do osiągnięcia. Trzeba zacząć od tego, że możemy znaleźć pokój w powietrzu, którym oddychamy, w środowisku naturalnym czy wreszcie w otaczających nas ludziach.

Będąc dzieckiem traktowałem łąki jak mój dom. Kiedy tylko łączywie zjadłem na śniadanie swoją miseczkę ryżu, wybiegałem z domu i spędzałem cały dzień, biegając po wzgórzach i skacząc przez strumienie. Potrafiłem przez cały dzień wędrować po lesie pełnym rozmaitych ptaków i zwierząt, żywiąc się ziołami i dzikimi jagodami, i nigdy nie czułem głodu. Już jako dziecko wiedziałem, że zawsze kiedy jestem w lesie, mój umysł i ciało są cudownie swobodne.

Często zdarzało mi się zasnąć na tych wzgórzach po całym dniu zabawy. Ojciec wychodził wtedy z domu i szukał mnie. Kiedy słyszałem dochodzące z daleka wołanie: „Yong Myung! Yong Myung!”, nie mogłem się nie uśmiechnąć, nawet przez sen. Kiedy byłem dzieckiem, nazywano mnie Yong Myung. Dźwięk głosu ojca budził mnie, ale udawałem, że dalej śpię. Zarzucał mnie sobie na plecy i tak zanosił do domu. To, co czułem, kiedy tak mnie niósł schodząc z pagórka — całkowite bezpieczeństwo i wielką otwartość serca — to właśnie był pokój. Wtedy, niesiony na barkach ojca, poznałem, czym jest pokój.

Także las pokochałem dlatego, że tam właśnie mieszka pokój całego świata. Formy życia w lesie nie walczą ze sobą nawzajem. Oczywiście jedne istoty zjadają drugie i same są zjadane, ale to dla zaspokojenia głodu i podtrzymania życia. Nie ma tam walki pełnej nienawiści. To nie tak, że jedne ptaki nienawidzą innych. Zwierzęta nie znają uczucia nienawiści do innych zwierząt. Drzewa nie kierują się nienawiścią do innych drzew. Aby nastał pokój, musi zniknąć wzajemna wrogość. Istoty ludzkie są jedynymi żywymi istotami, które obdarzają uczuciem nienawiści inne osobniki tego samego gatunku. Ludzie potrafią nienawidzić siebie na wzajem za to, że żyją w innym kraju, że wyznają inną religię, że myślą inaczej.

Odwiedziłem w ciągu mojego życia niemal dwieście krajów. Wśród nich było niewiele takich, w których, lądując na lotnisku, myślałem: „To istotnie jest miejsce pełne pokoju i zadowolenia”. Wiele było takich miejsc, gdzie z powodu zamieszek wewnętrznych zarówno lotnisko, jak i miasto

były pełne blokujących ulice żołnierzy z bronią gotową do strzału. Dzień i noc słyhać tam było odgłosy wystrzałów. Kilkakrotnie w takich miejscach, do których przyjeżdżałem, by mówić o pokoju, omal nie straciłem życia.

Współczesny świat pełen jest niekończących się wielkich i małych konfliktów czy konfrontacji. Dziesiątki milionów ludzi cierpi z powodu głodu, nie mając dostownie nic do jedzenia. A jednocześnie świat wydaje tryliony dolarów na broń! Pieniądzy, wydawanych na produkcję tylko broni palnej i bomb, starczyłoby, aby zaspokoić głód wszystkich ludzi na naszej ziemi.

Całe swoje życie poświęciłem na budowanie mostów pokoju pomiędzy krajami, które się nienawidzą i uważają się za wrogów z powodu ideologii czy religii. Stworzyłem fora, na których muzułmanie, chrześcijanie i żydzi mogą się spotykać. Pracowałem nad tym, żeby pogodzić poglądy Stanów Zjednoczonych i Związku Radzieckiego, kiedy te państwa miały odmienne zdanie na temat Iraku. Pomagałem w przeprowadzaniu procesu pojednania pomiędzy Północną i Południową Koreą.

Nie robiłem tego dla pieniędzy czy dla sławy. Od chwili, kiedy byłem już dostatecznie dorosły, żeby zrozumieć, co się dzieje na świecie, mojemu życiu przyświecał jeden tylko cel — chciałem, żeby świat mógł żyć w pokoju, żeby mógł się zjednoczyć. Nigdy nie chciałem niczego innego. Życie dniem i nocą wyłącznie dla sprawy pokoju nie jest proste, ale ta praca daje mi najwięcej szczęścia.

Podczas „zimnej wojny” przeżywaliśmy cierpienia spowodowane podziałem świata na dwa obozy z przyczyn ideologicznych. Wydawało się wtedy, że wystarczyłoby, żeby komunizm zniknął z powierzchni ziemi, a zapanuje na niej pokój. Ale okazało się, że teraz, kiedy „zimna wojna” już należy do przeszłości, na ziemi jest nawet więcej konfliktów, niż było dawniej. Teraz dzielą nas rasa i religia. Wiele narodów patrzy na swoich sąsiadów zza drugiej strony granicy podejrzliwie i z nieufnością. Jakby tego nie było dosyć, zdarza się, że w obrębie tego samego kraju ludzie tworzą podziały ze względu na rasę, religię czy też region, w jakim się urodzili. Ludzie uważają siebie nawzajem za wrogów, tworzą linie podziałów i nie chcą sobie wzajemnie okazać serca.

Kiedy patrzymy na historię ludzkości, widzimy, że najbardziej okrutne i brutalne wojny, to nie te prowadzone pomiędzy dwoma narodami, ale te, w których ze sobą walczyli ludzie różnych ras. Zaś pośród tych ostatnich najgorsze były wojny pomiędzy dwiema grupami etnicznymi, kiedy jako pretekstu używano religii.

W wojnie domowej w Bośni — jednym z najgorszych etnicznych konfliktów XX wieku — tysiące ludzi, w tym wiele dzieci, zostało zmasakrowanych w szczególnie brutalny sposób. 11 września 2001 roku tysiące niewinnych istnień zginęło, kiedy w budynki nowojorskiego World Trade Center uderzyły samoloty pasażerskie. Ostatnio też w Strefie Gazy w Palestynie i na południu Izraela w wyniku gwałtownych zamieszek setki ludzi straciło życie. Domy zostały zburzone, a ci, co w nich mieszkali, wciąż egzystują na krawędzi życia i śmierci. Wszystko to jest smutnym rezultatem konfliktów pomiędzy różnymi grupami etnicznymi i wyznawanymi przez nie religiami.

Co sprawia, że ludzie tak się nienawidzą, że się wzajemnie zabijają? Jest naturalnie wiele powodów, ale niemal zawsze wchodzi tu w grę różnica religijne. Tak było w przypadku wojny w Zatoce. Tak jest w konflikcie arabsko-żydowskim w sprawie przejęcia kontroli nad Jerozolimą. Kiedy rasizm używa religii jako pretekstu, problem się staje wyjątkowo złożony. Złe duchy wojen

religijnych, o których sądziliśmy, że się skończyły już w średniowieczu, nadal straszą nas teraz, w dwudziestym pierwszym wieku.

Wojny religijne trwają nadal, gdyż wielu polityków wykorzystuje wrogość międzyreligijną dla zaspokojenia własnych, samolubnych celów. Religie często tracą siłę i gubią własną drogę w obliczu władzy politycznej. Tracą z pola widzenia swój właściwy cel, jakim jest istnienie dla dobra pokoju. Odpowiedzialność za posuwanie do przodu sprawy pokoju światowego spoczywa na wszystkich religiach. Niestety, jak widzimy, zamiast tego same religie stają się często przyczyną konfliktu.

Możemy w tym dostrzec szkodliwe machinacje polityków, ich władzę i pieniądze. Tymczasem odpowiedzialnością przywódcy jest ponad wszystko sprawa utrzymania pokoju. Niemniej owi przywódcy często wydają się robić coś wręcz przeciwnego i prowadzą świat w kierunku konfrontacji i przemocy.

Dla ukrycia swoich samolubnych ambicji przywódcy ci używają języka religii i nacjonalizmu. Jeśli ich serca nie odnajdą właściwej drogi, kraje i narody będą błądzić w wielkim zamęciu. Tak naprawdę ani religia, ani miłość do własnego narodu nie są złe. Są wartościowe wtedy, gdy się używa ich do budowania globalnego społeczeństwa. Ale kiedy się utrzymuje, że rację ma tylko jedna konkretna religia czy jedna grupa etniczna, a inne religie i grupy etniczne są atakowane i pogardzane, to zarówno religia, jak i patriotyzm tracą swoją wartość. Kiedy religia posuwa się za daleko, zaczyna deptać innych i traktować inne religie jako bezwartościowe, to przestaje być ucieleśnieniem dobra. Tak samo, kiedy patriotyzm przeradza się w przesadne podkreślanie własnych racji i wynoszenie członków jednego narodu ponad innych.

Uniwersalną prawdą jest to, że musimy się nawzajem doceniać i pomagać sobie. Tę prawdę znają nawet najmniejsze zwierzęta. Koty i psy nie zgadzają się ze sobą, ale jeżeli wychowacie je w tym samym domu, będą się opiekowały wzajemnie swoim potomstwem i przyjaźniły ze sobą. To samo obserwujemy u roślin. Winorośl, wędrująca w górę po drzewie, jest zależna od pnia, który ją podtrzymuje. Drzewo jednak nie mówi: „Ej, co ty sobie myślisz? Jakim prawem się wspinasz po moim pniu?” Uniwersalną zasadą dla każdego jest żyć wspólnie, jedno dla dobra drugiego. Każdego, kto od tej zasady odejdzie, czeka niewątpliwie upadek. Jeżeli narody i religie będą nadal złośliwie atakować się nawzajem, przed ludzkością nie ma przyszłości. Będzie to niekończący się ciąg terroru i wojen aż do dnia, kiedy się wyniszczymy i w końcu znikniemy z powierzchni ziemi. Jednak jest jeszcze dla nas nadzieja. Z pewnością taka nadzieja istnieje.

Przez całe moje życie ani na chwilę nie straciłem tej nadziei i stale żyłem marzeniem o pokoju. Pragnę całkowitego starcia z powierzchni ziemi wszelkich murów i barier dzielących świat na miliony sposobów i stworzenia świata jedności. Chcę zburzyć mury między religiami i rasami oraz zasypać przepaść pomiędzy bogatymi i biednymi. Kiedy to zrobimy, będziemy w stanie zbudować na nowo świat pokoju, który Bóg stworzył na samym początku. Mówię o świecie, w którym nikt nie będzie cierpieł głodu, nikt nie będzie płakał. Aby uleczyć świat, w którym już nie ma nadziei i któremu brak miłości, musimy oczyścić nasze serca, aby stały się takie jak wtedy, gdy byliśmy dziećmi. Aby się pozbyć pragnienia posiadania coraz to większych ilości dóbr materialnych i w ten sposób odtworzyć naszą piękną, pierwotną naturę ludzkich istot, musimy powrócić do zasad

pokoju i oddychania miłością — do tego, czego się nauczyliśmy noszeni na plecach przez naszych rodziców.

Radość z dawania pożywienia innym

Moje oczy są bardzo małe. Opowiadano mi, że kiedy się urodziłem, matka się zastanawiała: „Czy to moje dziecko ma w ogóle oczy, czy nie?” i palcami rozciągała mi powieki. A kiedy zamrugałem, zawołała radośnie: „O tak! Jednak ma oczy!” Moje oczy były tak małe, że często mnie nazywano „Malutkie Oczki z Osan” — gdyż moja matka pochodziła z miejscowości Osan.

Nie mogę sobie jednak przypomnieć, by ktokolwiek twierdził, że te małe oczy czynią mnie mniej atrakcyjnym. W gruncie rzeczy ludzie, którzy znają się co nieco na fizjonomice, sztuce rozpoznawania charakterystycznych cech i przyszłości danej osoby na podstawie studiowania rysów twarzy, twierdzą, że te małe oczy potwierdzają moje predyspozycje, aby być przywódcą religijnym. Myślę, że to tak jak w przypadku aparatu fotograficznego, kiedy zmniejszenie przystony obiektywu pozwala na większą ostrość widzenia dalszych przedmiotów. Przywódca religijny musi umieć patrzeć w przyszłość dalej niż inni ludzie, i być może małe oczy wskazują na taką umiejętność. Zresztą mój nos też nie jest zwyczajny. Wystarczy spojrzeć, by się przekonać, że to nos człowieka upartego i zdeterminowanego. W fizjonomice musi być coś z prawdy, gdyż kiedy spojrzę wstecz na swoje życie, te rysy twarzy odzwierciedlają drogę, którą przeszedłem w życiu.

Urodziłem się w 2221 Sangsa Ri (nazwa miejscowości), w okręgu Deokeon, na terenie powiatu Jeongju, w prowincji Pyongan. Byłem drugim synem Kyung Yu Moona z rodu Nampyung Moon oraz Kyung Gye Kim z rodu Yeonan Kim. Przyszedłem na świat szóstego dnia pierwszego miesiąca księżycowego 1920 roku — w rok po powstaniu wolnościowym w 1919 roku.

Opowiadano mi, że nasza rodzina zamieszkała w miejscowości Sangsa Ri za życia mojego pradziadka. Pradziadek ze strony ojca pracował sam na roli — produkował tysiące buszli ryżu, i w ten sposób własnymi rękami tworzył rodzinny majątek. Nigdy nie palił ani nie pił; zarobione pieniądze wolał zużyć na kupno żywności i rozdawanie jej potrzebującym. Kiedy umierał, jego ostatnie słowa brzmiały: „Jeżeli będziecie karmili ludzi ze wszystkich regionów Korei, wszystkie te regiony będą was błogosławić”. Pokój gościnny w naszym domu był więc zawsze pełen ludzi. Nawet ci z innych wsi wiedzieli, że jeśli przyjdą do naszego domu, zawsze będą mogli liczyć na otrzymanie dobrego posiłku. Moja matka bez słowa skargi szykowała jedzenie dla nich wszystkich.

Mój pradziadek był niezmordowany — nigdy nie miał ochoty na odpoczynek. Jeżeli znalazł wolną chwilę, wykorzystywał ten czas na wyplatanie słomianych łąpci, które potem sprzedawał na targu. Kiedy się zestarzał, w swoim miłosierdziu kupił kilka gęsi, wypuścił je na wolność, modląc się przy tym, żeby ich potomstwu zawsze sprzyjało szczęście. Zaangażował nauczyciela chińskiego alfabetu, który siedział w gościnnym pokoju i za darmo uczył pisać młodych ludzi z całej wsi.

Mieszkańcy wsi nadali mu honorowy tytuł „Sun Ok” (Klejnot Dobroci), a o naszym domu mówili: „dom, który będzie błogosławiony”.

W okresie, kiedy się urodziłem i dorastałem, większość bogactwa mojego pradziadka już się rozeszła, tak że rodzice mieli zaledwie tyle, żeby starczyło na życie. Rodzinna tradycja karmienia innych istniała jednak nadal; karmilibyśmy innych, nawet gdyby to oznaczało, że dla członków

rodziny nie będzie dość pożywienia. Gdy tylko nauczyłem się chodzić, kolejną opanowaną przeze mnie umiejętnością stało się podawanie jedzenia innym.

W okresie okupacji japońskiej wielu Koreańczykom zabrano ich domy i ziemię. Kiedy uciekali z kraju do Mandżurii, gdzie mieli nadzieję urządzić sobie nowe życie, idąc główną drogą wiodącą do Seoncheon w północnej prowincji Pyongan, mijali nasz dom. Matka zawsze szykowała jedzenie dla tych wędrowców, schodzących się tu ze wszystkich stron Korei. Jeżeli do naszego domu przychodził żebrak, prosząc o jedzenie, a matka nie reagowała na to dostatecznie szybko, dziadek brał swoje danie i oddawał żebrakowi. Być może dlatego, że się urodziłem w takiej właśnie rodzinie, dużą część mego życia poświęciłem na karmienie innych. Uważam dawanie innym jedzenia za najpiękniejsze z zajęć. Kiedy jem i widzę, że ktoś nie ma nic, serce mnie tak boli, że nie jestem w stanie dalej jeść.

Opowiem wam o czymś, co się wydarzyło, kiedy miałem około jedenastu lat. Zbliżał się ostatni dzień roku i wszyscy we wsi zajęci byli przygotowywaniem ciasteczek ryżowych na święto Nowego Roku. Jednak pewna rodzina w sąsiedztwie była tak biedna, że nie miała nic do jedzenia. Cały czas miałem przed oczami ich twarze i to mnie tak gnębiło, że chodziłem po domu zastanawiając się, co zrobić. W końcu chwyciłem ośmiokilogramowy worek ryżu i wybiegłem z domu. Tak się spieszyłem, żeby go wynieść, że nawet nie zawiązałem porządnie worka. Zarzuciłem go na ramiona i biegłem stromą ścieżką pod górę jakieś osiem kilometrów, by dotrzeć do domu sąsiadów. Byłem przejęty myślą, jak to będzie dobrze, kiedy dam tym ludziom tyle pożywienia, że będą mogli się najeść do syta.

Obok naszego domu był miejscowy młyn. Miał solidne cztery ściany, tak żeby ryż przy mieleniu się nie wysypywał. To oznaczało, że zimą był dobrym schronieniem przed wiatrem i zimnem. Jeżeli się wzięło podpałkę z naszego domowego pieca i rozpałiło we młynie mały ogień, robiło się cieplej niż w pokoju, który ogrzewa *ondol* (system *ondol* w Korei to ogrzewanie całego domu poprzez rozprowadzanie ciepła rurami pod podłogą). Kilku wędrujących po kraju żebraków postanowiło w tym młynie spędzić zimę. Byłem zafascynowany ich opowiadaniem o miejscach, jakie zwiedzili, i w rezultacie spędzałem z nimi każdą wolną chwilę. Matka musiała mi nosić jedzenie do tego młyna i zawsze przynosiła go tyle, że i moi przyjaciele- -żebracy się najadali. Jedliśmy z tych samych naczyń i nocą spaliśmy na tym samym pościu. Tak spędziłem zimę. Kiedy nadeszła wiosna, żebracy wywędrowali gdzieś w daleki świat, a ja nie mogłem się doczekać następnej zimy; marzyłem, żeby wrócili i znowu zamieszkali przy naszym domu. To, że byli biednie odziani, wcale nie znaczyło, że i serca mieli w strzępach. Ich serca były pełne głębokiej i ciepłej miłości. Dawałem im jedzenie, a oni obdarzali mnie miłością. Głęboka przyjaźń i ciepło, jakie mi wówczas okazali, są jeszcze dzisiaj dla mnie źródłem siły.

Kiedy wędruję dookoła świata i spotykam cierpiące głód dzieci, zawsze sobie przypominam, jak mój dziadek nigdy nie przepuścił szansy podzielenia się jedzeniem z innymi.

Być przyjacielem dla wszystkich

Kiedy już sobie coś postanowię, muszę to natychmiast wprowadzić w życie. Inaczej nie jestem w stanie zasnąć. Kiedy byłem dzieckiem, zdarzało się, że przychodził mi do głowy w nocy jakiś pomysł, musiałem jednak czekać z wcieleniem go w życie aż do rana. Wtedy nie mogłem już zasnąć, i żeby czas mi jak najprędzej upływał, skrobałem paznokciami po ścianie. Zdarzało się to tak często, że

wydrapałem już w ścianie pokaźną dziurę, a resztki tynku brudziły podłogę. Nie byłem też w stanie spać, kiedy w ciągu dnia zdarzyło mi się być niewłaściwie potraktowanym. W takim wypadku wstawałem w nocy z łóżka, szedłem do domu winowajcy i zmuszałem go, żeby wyszedł i bił się ze mną. Z pewnością wychowywanie takiego chłopaka jak ja musiało być dla moich rodziców czymś bardzo trudnym.

Nie mogłem znieść, jeśli ktoś był traktowany niesprawiedliwie. Ilekroć dzieciaki we wsi walczyły ze sobą, zawsze się włączałem, jakbym w każdej sytuacji był odpowiedzialny za przestrzeganie sprawiedliwości. Decydowałem, który z dzieciaków walczy w obronie niesłusznej sprawy, i głośno go za to karciłem. Pewnego razu poszedłem zobaczyć się z mieszkającym w sąsiedztwie dziadkiem chłopaka znęcającego się nad słabszymi. Powie· działem mu: „Twój wnuk w tym i w tym postępuje niewłaściwie. Proszę, zajmij się tym”.

W swoich działaniach bywałem gwałtowny, niemniej byłem dzieckiem o wielkim sercu. Czasami odwiedzałem starszą siostrę w domu rodzinnym jej męża i żądałem, żeby mi podano ciastka ryżowe i kurczaka. Dorośli nie gniewali się za to, bo widzieli, że serce mam przepełnione gorącą miłością.

Wyjątkowo dobrze potrafiłem się zajmować zwierzętami. Kiedy ptaki uwiły gniazdo na drzewie przed naszym domem, wykopałem dla nich mały wodopój, żeby zawsze miały wodę. Sypałem im też proso zebrane z podłogi składowiska. Początkowo, kiedy ktokolwiek podchodził bliżej, ptaki odfrukały. Jednak niebawem zdały sobie sprawę, że ten, kto im daje jedzenie, kocha je i przestały odlatywać, kiedy się do nich zbliżałem.

Pewnego razu pomyślałem, że spróbuję hodować ryby. Złapałem więc kilka i włożyłem do wykopanego w ziemi „wodnego oczka”. Na powierzchni wody rozsypałem też dużo karmy dla ryb. Kiedy jednak wstałem następnego ranka, okazało się, że w nocy wszystkie ryby umarły. A ja tak bardzo pragnąłem je hodować! Stałem osłupiały i patrzyłem, jak rybki unoszą się na powierzchni wody. Pamiętam, że wtedy przepłakałem cały dzień.

Mój ojciec hodował pszczoły. Brał duży ul i na jego dnie umieszczał ramki jako podstawę. Wtedy pszczoły zaczynały produkować воск, by zbudować gniazdo i przechowywać tam miód. Byłem ciekawskim dzieckiem i chciałem koniecznie zobaczyć, jak pszczoły budują swoje plastry. Wsadziłem buzię do środka ula i zostałem tak ciężko pożądlony przez pszczoły, że twarz mi spuchła jak bania.

Kiedyś wyciągnąłem z ula ramki i ojciec surowo mnie za to skarcił. Kiedy pszczoły zbudowały już plastry, ojciec wyjmował ramki i odkładał na bok. Były pokryte pszczelim woskiem, którego można było używać do lamp zamiast oliwy. Zabierałem te kosztowne ramki, rozdzielałem i znosiłem do domów ludzi, którzy nie mogli sobie pozwolić na kupno oliwy do lamp. Był to akt dobroci, ale robiłem to bez pozwolenia ojca i otrzymałem za to surową reprimendę.

Kiedy miałem dwanaście lat, znaliśmy tylko kilka gier, w które graliśmy. Mieliśmy do wyboru grę typu „parchisi”, która u nas nazywała się *yute*, grę podobną do szachów zwaną *janggi*, wreszcie gry w karty. Najbardziej podobały mi się gry, w których uczestniczyło wiele osób. W ciągu dnia lubiłem grać w *yute* albo puszczać latawiec, a wieczorami obchodziłem wieś i w każdym domu rozgrywałem partię kart. Były to gry, w których zwycięzca po każdym rozdaniu otrzymywał 120

wonow (koreańska jednostka monetarna), a ja zwykle wygrywałem przynajmniej co trzecie rozdanie.

Wieczór sylwestrowy i pierwsza pełnia księżyca po Nowym Roku były dniami, kiedy dużo ludzi grało na pieniądze. W te dni policja przymykała oko i nie aresztowała nikogo za uprawianie hazardu. Poszedłem tam, gdzie grali dorośli, zdrzemnąłem się w ciągu nocy, a wczesnym rankiem, kiedy gracze już mieli zamiar zakończyć grę, poprosiłem, aby zagrali ze mną tylko trzy razy. Zgarnąłem wygrane pieniądze, nakupiłem za nie jedzenia, zabawek, cukierków i zrobiłem paczki z prezentami dla przyjaciół i dla biednych dzieci z okolicznych wiosek. Nie wydałem tych pieniędzy na siebie ani nie spożytkowałem ich na nic złego.

Kiedy mężowie moich starszych sióstr przychodzili do nas z wizytą, prosiłem ich o pozwolenie wzięcia pieniędzy z ich portfeli. Wydawałem je potem na słodycze dla dzieci w potrzebie. Kupowałem im też słodki syrop.

To naturalne, że w każdej wsi mieszkają ludzie, którym się dobrze powodzi, jak również i biedacy. Kiedy widziałem, że jakieś dziecko przynosi do szkoły na obiad gotowane proso, mój lepszy posiłek z ryżu nie przechodził mi przez gardło. Zamieniałem się wtedy z nim — oddawałem swój ryż w zamian za jego proso. Żyłem bliżej z dziećmi z biednych rodzin niż z tymi z bogatych i chciałem coś zrobić, żeby nie były głodne. Był to rodzaj gry, która mnie najbardziej ze wszystkich cieszyła. Byłem jeszcze dzieckiem, ale uważałem się za przyjaciela wszystkich. W gruncie rzeczy chciałem być kimś więcej niż tylko przyjacielem — chciałem zbudować relacje, w których moglibyśmy się wzajemnie dzielić uczuciami płynącymi z serca. Jeden z moich wujów był chciwym człowiekiem. Jego rodzina miała poletko melonów w pobliżu środka wsi i każdego lata, kiedy melony dojrzewały i zaczynały rozsiewać słodką woń, wiejskie dzieciaki błagały wuję, żeby im dał zjeść chociaż trochę. Mój wuj jednak ustawił namiot na drodze obok poletka i siedział w nim, pilnując i odmawiając podzielenia się chociażby jednym melonem.

Pewnego dnia przyszedłem do niego i spytałem: „Wujku, czy to będzie w porządku, jeżeli czasami przyjdę na twoje poletko i zjem tyle melonów, ile będę chciał?” Wuj odpowiedział: „Oczywiście, że to będzie w porządku”.

Rozpuściłem zatem wieść pomiędzy dziećmi, że każdy, kto chce zjeść melona, ma przynieść worek z juty i wszyscy się mają zgromadzić o północy przed moim domem. Wtedy poprowadziłem je na poletko wuję i powiedziałem: „Chcę, żeby każdy z was zerwał rząd melonów i macie się o nic nie martwić”. Dzieciaki z krzykiem radości rzuciły się na poletko melonów. Starczyło parę minut, a już obrały do czysta kilka rzędów. Tej nocy głodne wiejskie dzieci siedziały na polu koniczyny i zajadały melony, tak że o mało im brzuszki nie popękały.

Następnego dnia wybuchła awantura. Poszedłem do domu wuję i zastałem tam prawdziwe pandemonium, jakby ktoś wetknął kij w mrowisko. „Ty łobuzie!” — krzyczał na mnie wuj. — „Czy to twoja robota? Czy to ty zniszczyłeś moją całoroczną pracę przy melonach?”

Niezależnie od tego, co mówił, ja nie miałem zamiaru ustąpić. „Wujku” — powiedziałem — „czy nie pamiętasz? Powiedziałeś, że mogę zjeść tyle melonów, ile zechcę. Dzieci ze wsi bardzo chciały spróbować tych melonów, a ich pragnienie — to i moje pragnienie. Czy dobrze zrobiłem, kiedy każdemu dałem po melonie, czy nie powinienem im w ogóle dawać ani jednego?”

Kiedy wuj to usłyszał, powiedział: „W porządku. Masz rację”. I przestał się gniewać.

Kompas, który zawsze kierował moim życiem

Rod Moonow pochodzi z Nampyung w pobliżu Naju w prowincji Cholla, miasta położonego o jakieś trzysta dwadzieścia kilometrów na południe od Seulu, w południowo-zachodniej części kraju.

Mój prapradziadek, Sung Hak Moon, miał trzech synów. Najmłodszy z nich, Jung Heul Moon, był moim pradziadkiem i miał także trzech synów o imionach: Chi Guk, Shin Guk i Yoon Guk. Mój dziadek, Chi Guk Moon, był najstarszy z całej trojki.

Dziadek Chi Guk Moon nie umiał czytać i pisać, bo nie chodził ani do nowoczesnej szkoły podstawowej, ani do tradycyjnej szkoły wiejskiej. Jego umiejętność koncentracji była jednak tak potężna, że potrafił recytować z pamięci cały tekst koreańskiego przekładu *Sam Kuk Zhi* (popularna, ogólnie znana powieść o Trzech Królestwach w klasycznej historii Chin), którego się nauczył tylko słuchając, kiedy mu ktoś go czytał. Zresztą znał na pamięć nie tylko *Sam Kuk Zhi*. Kiedy słyszał, że ktoś opowiada ciekawą historię, potrafił ją zapamiętać i ponownie opowiedzieć, używając tych samych słów. Wystarczyło, że coś raz usłyszał, i już pamiętał. Mój ojciec odziedziczył po nim tę umiejętność — potrafił śpiewać z pamięci hymny chrześcijańskie z liczącego czterysta stron zbioru hymnów.

Dziadek postępował zgodnie z ostatnimi słowami swojego ojca, aby żyć w duchu dawania, ale nie potrafił utrzymać majątku rodziny.

Przede wszystkim dlatego, że jego najmłodszy brat, mój cioteczny dziadek, Yoon Guk Moon, pożyczył pieniądze należące do rodziny i wszystko stracił. Z tego powodu reszta rodziny przeżywała bardzo trudny okres, ale ani dziadek, ani ojciec nie powiedzieli nigdy złego słowa na mego ciotecznego dziadka Yoon Guka. Wiedzieli, że te pieniądze stracił nie z powodu hazardu czy czegoś w tym rodzaju. Nie. Wysłał je Rządowi Tymczasowemu Republiki Korei, który miał wtedy siedzibę w Szanghaju w Chinach. W tamtych czasach siedemdziesiąt tysięcy wonów było wielką sumą, a właśnie tyle mój cioteczny dziadek ofiarował dla ruchu niepodległościowego.

Cioteczny dziadek Yoon Guk, który ukończył seminarium w Pyongyang (Phenianie) i został pastorem, był intelektualistą, mówił płynnie po angielsku i dobrze się orientował w naukach chińskich. Jako pastor pełnił służbę w trzech kościołach, w tym w kościele Deok Heung w Deok Yeon Myeon. Razem z Nam Seon Choe w 1919 roku opracowywał projekt Deklaracji Niepodległości.

Kiedy się jednak okazało, że trzech z szesnastu chrześcijańskich przywódców religijnych spośród sygnatariuszy było związanych z kościołem Deok Heung, mój dziadek wycofał z listy swoje nazwisko. Seung Heun Lee, jeden z pozostałych sygnatariuszy, który razem z dziadkiem pracował nad zorganizowaniem szkoły w Osan, poprosił dziadka Yoon Guka, żeby przejął jego wszystkie sprawy w przypadku, gdyby ruch niepodległościowy upadł, a on sam zginął z rąk japońskich władz kolonialnych.

Po powrocie do rodzinnego miasta cioteczny dziadek Yoon Guk wykonał tysiące flag koreańskich i wręczał je ludziom, którzy wylegali tłumnie na ulice, aby wyrazić poparcie dla sprawy

niepodległości Korei. 8 marca dziadka aresztowano, kiedy przewodniczył demonstracji na wzgórzu za biurami administracji Aipo Myeon. W tej demonstracji wspierającej walkę o niepodległość wzięli udział przełożeni, wykładowcy i około dwóch tysięcy uczniów szkoły w Osan, poza tym jakieś trzy tysiące chrześcijan i cztery tysiące innych mieszkańców tej okolicy. Dziadka skazano na dwa lata odosobnienia i osadzono w więzieniu w Euiju. Już w następnym roku został jednak zwolniony na mocy specjalnego ułaskawienia.

Nawet po wyjściu z więzienia dziadek nie mógł długo przebywać w jednym miejscu z powodu stałych prześladowań ze strony policji japońskiej; dlatego stale był w ruchu. Tortury japońskiej policji, która przebijała go bambusową włócznią i wydarła kawałek ciała, pozostawiły mu ogromne blizny. Poraniono mu nogi i bok żeber, ale dziadek nigdy się nie poddał. Kiedy Japończycy zrozumieli, że go nie zdołają złamać, zaproponowali mu stanowisko szefa prowincji, o ile się zobowiąże, że przestanie uczestniczyć w walce o niepodległość. W odpowiedzi dziadek głośno upomniął Japończyków: „A cóż wy myślicie, złodzieje? Że przyjmę to stanowisko i będę dla was pracował?”

Miałem siedem czy osiem lat, kiedy cioteczny dziadek Yoon Guk mieszkał przez krótki okres u nas w domu; odwiedziło go wówczas kilku członków koreańskiej armii wyzwolenczej. Nie mieli pieniędzy na podróż i w związku z tym musieli wędrować pieszo, nocą, w dodatku w zamieci śnieżnej. Mój ojciec ponakrywał nam kołdrami głowy, żebyśmy się nie przebudzili. Ale ja już nie spałem — z głową pod kołdrą, z szeroko otwartymi oczami wsłuchiwałem się w rozmowę dorosłych. Chociaż była noc, mama zarznęła kurę i ugotowała kluski, żeby przyjąć naszych, walczących o niepodległość, gości.

Do dzisiaj nie mogę zapomnieć słów mojego ciotecznego dziadka Yoon Guka, które usłyszałem leżąc pod kołdrą i wstrzymując z przejścia oddech. „Nawet, jeżeli zginiecie” — powiedział — „jeżeli zginiecie w walce za kraj, będziecie błogosławieni”. I ciągnął dalej: „Teraz widzimy przed sobą jedynie ciemność, ale jasny poranek z pewnością nadejdzie”. Na skutek tortur nie był już w pełni sprawny fizycznie, ale w jego głosie brzmiała siła.

Pamiętam też, że pomyślałem wtedy: „Dlaczego kogoś tak cudownego, jak mój cioteczny dziadek, zamknęli w więzieniu? Gdybyśmy tylko byli mocniejsi od Japonii, to by się nigdy nie wydarzyło!”

Dziadek Yoon Guk nadal wędrował po całym kraju, unikając prześladowań policji japońskiej; dopiero w roku 1966, kiedy byłem w Seulu, znowu o nim usłyszałem. Cioteczny dziadek pojawił się we śnie jednego z moich młodszych kuzynów i powiedział mu: „Jestem pochowany w Jeongseon, w prowincji Kangwon”. Udaliśmy się tam i okazało się, że dziadek odszedł z tego świata dziewięć lat wcześniej. Znaleźliśmy tylko grób usypany z ziemi w formie kopca, porośnięty gęsto chwastami. Później przeniósłem jego szczątki do Paju w prowincji Kyeonggi w pobliżu Seulu.

W latach, które nastąpiły po wyzwoleniu Korei spod okupacji japońskiej w 1945 roku, komuniści w Północnej Korei bezlitośnie mordowali chrześcijańskich pastorów i ludzi, którzy walczyli o niepodległość. Mój cioteczny dziadek Yoon Guk, bojąc się, że jego obecność mogłaby zaszkodzić rodzinie, uciekł od komunistów przechodząc na południe przez 38. równoleżnik i osiadł w Jeongseon. Nikt z naszej rodziny o tym nie wiedział. Utrzymywał się w tej oddalonej od świata górskiej okolicy, sprzedając pędzelki do pisania tuszem. Później się dowiedzieliśmy, że zorganizował tam tradycyjną wiejską szkołę, w której uczył pisania chińskich znaków.

Według relacji jednego z jego dawnych uczniów często komponował spontanicznie poematy, które spisywał chińskimi znakami. Uczniowie przepisali i zachowali sto trzydzieści takich wierszy, w tym następujące:

POKÓJ PÓŁNOC — POŁUDNIE

*Dziesięć lat temu opuściłem dom, by pójść na południe;
Upływający czas pobilił moje włosy
Wróciłbym na Północ, ale jak to zrobić?
To, co być miało przelotnym pobytem,
trwa już tak długo.
Mam letni strój z długimi rękawami
Jedwabny wachlarz mi wachluje skronie
i marzę o tym, że najbliższa jesień
Przybliży pokój Północy z Południem.
Czekają na to dzieci w naszych domach
Więc się nie trzeba martwić aż tak bardzo.*

Chociaż oddzielony od rodziny i mieszkający w Jeongseon, na ziemi, która była mu całkowicie obca, cioteczny dziadek Yoon Guk całym sercem był oddany swojemu krajowi. Pozostawił po sobie taki poemat:

*Gdy sobie stawiasz w życiu jakiś cel
To niech on będzie z możliwych najwyższy.
A przede wszystkim — niech nie będzie w nim
Ani drobiny twych prywatnych pragnień.*

Wkład mojego ciotecznego dziadka w ruch niepodległościowy został po jego śmierci doceniony przez rząd Republiki Korei — w roku 1977 dziadek otrzymał pośmiertnie Nagrodę Prezydenta, a w 1990 Order Zasługi dla Budowy Fundamentów Narodu. Nawet teraz czasem recytuję jego poematy. Są przepojone niezachwianą miłością do ojczyzny, nawet w obliczu największych przeciwności losu.

Ostatnio, kiedy się już starzeję, coraz częściej myślę o moim ciotecznym dziadku Yoon Guku. Każde zdanie jego wierszy, wyrażające serdeczną troskę o kraj, przenika głęboko moje serce. Uczę naszych członków pieśni „Daehan Jiri Ga” (Pieśń o geografii Korei), do której słowa napisał właśnie dziadek Yoon Guk. Kiedy śpiewam tę pieśń, od góry Baekdu do góry Halla, czuję, jak spada ze mnie ciężkie brzemię.

PIEŚŃ O GEOGRAFII KOREI

*Półwysep Koreański na Wschodzie,
mieści się między trzema krajami.
Na Północy rozległe równiny Mandżurii,
Na Wschodzie głębokie, błękitne Morze Wschodnie,
Na Południu morze licznych wysp,
A na Zachodzie głębokie Morze Żółte.
Z mórz po trzech stronach mamy pożywienie:*

*Nasz skarb — to ryby wszelkiego rodzaju.
Potężna góra Baekdu stoi na Północy,
Z niej mamy wodę w rzekach Amrok i Tuman,
Co płyną potem do mórz — na wschód i zachód,
Znacząc granicę naszą z Sowietami.
Pośrodku kraju błyszczy góra Kumgang
To światowy rezerwat i duma Korei.
Góra Halla odbija się w błękicie morza
Na Południu, jak znak graniczny dla rybaków.
Cztery równiny: Daedong, Hangang, Geumgang i Jeonju
dostarczają rodakom żywności i strojów.
Cztery kopalnie: w Woonsan, Soonan, Gaecheon i Jaeryung
oddają nam bogactwa, tkwiące w naszej ziemi.
Cztery miasta: Kyung-sung, Pyongyang, Daegu i Kaesung
nad naszą ziemią jaśniej jak słońca.
A cztery porty: Busan, Wonsan, Mokpo i Incheon
chętnie przyjmują zagraniczne statki.
Od Kyung-sung ciągną się szyny kolei,
łącząc ze sobą Kyung-Eui i Kyung-Bu,
Kyung-Won i Honam wiodą nas na północ i południe,
Tak cały nasz półwysep pokrywają szyny.
Miasta nam mówią o naszej historii,
Pyongyang, liczące dwa tysiące lat miasto Danguna,
Kaesung, które jest stolicą Koryo,
Kyungju, stolica Chosun, co ma lat już pięćset;
Kyungju — początek Pak Hyukkosai
jaśnieje dwoma tysiącami lat kultury Shilla,
Chungchong ma Buyo — historyczną stolicę Paekche.
Walczący o przyszłość synowie Korei!
Fale cywilizacji omywają wybrzeża,
Zejdźcie z naszych wzgórz,
I maszerujcie naprzód pełni siły
W świat nowy, świat przyszłości!*

Uparte dziecko, które nigdy nie rezygnuje

Mój ojciec nie bardzo umiał żądać zwrotu długów, ale kiedy sam pożyczył od kogoś pieniądze, uważał, że musi je oddać, nawet jeżeli by to oznaczało konieczność sprzedania jedynej w rodzinie krowy czy też wyjęcie jednego ze słupów podtrzymujących dom i sprzedanie go na targu. Mówił zawsze: „Nie wolno ci zastępować prawdy oszustwami. Tego, co prawdziwe, kłamstwo nigdy nie pokona. To, co jest skutkiem oszustwa, trwa krótko i wkrótce wychodzi na jaw”.

Ojciec był potężnym mężczyzną. Był tak silny, że bez trudu wchodził na schody z workiem ryżu na plecach. To, że w wieku dziewięćdziesięciu lat nadal jestem w stanie podróżować po świecie i kontynuować swoje dzieło — to skutek siły fizycznej odziedziczonej po ojcu.

Moja matka, której ulubionym hymnem chrześcijańskim była pieśń Higher Ground, była też raczej mocną kobietą. Odziedziczyłem po niej nie tylko szerokie czoło i okrągłą twarz, ale także jej prostolinijną i uduchowioną osobowość. Mam też skłonność do uporu, co dowodzi, że jestem bez wątpienia synem mojej matki. Kiedy byłem dzieckiem, przezywano mnie „płaczkiem od rana do nocy”. To przezwisko zawdzięczałem temu, że skoro tylko zaczynałem płakać, nie przestawałem i płakałem cały dzień. Płakałem tak głośno, że ludzie się obawiali, że stało się coś strasznego. Wstawali z łózek i wybiegali przed domy zobaczyć, co się dzieje. Poza tym nie płakałem ot tak, siedząc spokojnie w kąci. Nie! Skakałem po całym pokoju, bywało, że się przy tym poraniłem, a nawet krwawiłem, i cały czas okropnie hałasowałem. Cóż, już w dzieciństwie miałem taką, podatną na emocje, osobowość.

Kiedy coś postanowiłem, nigdy się nie wycofywałem, nawet za cenę połamania kości. Oczywiście to było na długo przed osiągnięciem dojrzałości! Kiedy matka mnie karciała, że coś źle zrobiłem, odpowiadałem: „Nie. Wcale nie!” Wystarczyłoby się przyznać, że rzeczywiście popełniłem błąd, ale prędeziej bym umarł, niż powiedział coś podobnego.

Moja matka jednak też odznaczała się silnym charakterem. Potrafiła dać mi solidnego klapsa ze słowami: „Uważasz, że możesz tak odejść i nie odpowiedzieć matce?” Kiedyś uderzyła mnie tak mocno, że upadłem na ziemię. Ale nawet kiedy się podniosłem, nie ustąpiłem. Stała przede mną, głośno krzycząc. Nawet wtedy nie przyznałem, że zrobiłem coś źle.

Mój duch rywalizacji był równie silny jak upór. Nie tolerowałem przegranej — w żadnej sytuacji. Dorośli w naszej wsi mówili: „Ten z Malutkimi Oczkami z Osan, kiedy coś postanowi, zrobi to na pewno”.

Nie pamiętam ile miałem lat, kiedy to się wydarzyło... Jakiś chłopak rozbił mi nos i uciekł. Przez cały miesiąc od tego dnia chodziłem do jego domu i stałem tam, czekając aż wyjdzie. Dorośli mieszkańcy wioski byli zaskoczeni moim uporem, który w końcu doprowadził do tego, że jego rodzice mnie przeprosili. Dali mi nawet pudełko pełne ciasteczek ryżowych.

To nie znaczy, że zawsze starałem się wygrać uporem i wytrwałością. Byłem też fizycznie o wiele większy i silniejszy od innych dzieci w moim wieku. Żadne dziecko nie mogło mnie pokonać w zapasach. Raz tylko przegrałem z chłopakiem starszym ode mnie o trzy lata i to mnie tak rozzłościło, że nie mogłem spokojnie usiedzieć. Poszedłem na pobliskie wzgórze, obdarłem trochę kory z akacji i przez następne sześć miesięcy ćwiczyłem walcząc z tym drzewem co wieczór, żeby się stać na tyle mocnym, by pokonać tamtego chłopca. Po poł roku wyzwiałem go na rewanż i wygrałem walkę.

W naszej rodzinie każde pokolenie ma dużo dzieci. Ja miałem starszego brata, trzy starsze siostry, wreszcie trzy młodsze siostry. Właściwie miałem jeszcze czworo innego rodzeństwa, które się urodziło już po Hyo Seon, mojej najmłodszej siostrze, ale cała ta czwórka umarła bardzo wcześnie. W sumie moja matka urodziła trzynaścioro dzieci, z których pięścioro nie dożyło wieku dorosłego. Musiało to bardzo dręczyć jej serce. Matka bardzo cierpiała, starając się wychować tyle dzieci w warunkach, które bynajmniej nie były dostatnie. Jako dziecko miałem bardzo dużo rodzeństwa. Kiedy do tej ilości dochodzili jeszcze nasi bliźsi i dalsi kuzyni, byliśmy wielką siłą. Minęło jednak tyle czasu... a teraz czuję, jakbym tylko ja sam jeden pozostał na tym świecie.

W 1991 roku odwiedziłem na krótko Koreę Północną. Pojechałem do rodzinnej miejscowości pierwszy raz po czterdziestu ośmiu latach; dowiedziałem się, że zarówno mojej matki, jak i większości rodzeństwa nie ma już na tym świecie. Została tylko jedna starsza i jedna młodsza siostra. Starsza, która mi matkowała, kiedy byłem mały, była już przeszło siedemdziesięcioletnią babcią. Młodsza już przekroczyła sześćdziesiątkę i twarz miała pokrytą zmarszczkami.

Kiedy byliśmy młodzi, często dokuczałem tej młodszej. Wołałem: „Ej, Hyo Seon, wyjdiesz za mąż za jednookiego”. Odpowiadała: „Co ty gadasz? Co ci do głowy przychodzi, braciszku?” A potem mnie goniła i waliła po plecach swoimi małymi piąstkami.

Kiedy skończyła osiemnaście lat, Hyo Seon poznała mężczyznę, z którym chciała ją wyswatać jedna z naszych ciotek. Tego ranka wstała wcześniej, pięknie uczesała włosy i upudrowała twarz. Dokładnie wysprzątała nasz dom, wewnątrz i na zewnątrz, i czekała, aż nadejdzie kandydat na narzeczonego. „Hyo Seon” — dokuczałem jej — „chyba naprawdę bardzo chcesz wyjść za mąż!” Po moich słowach aż się zarumieniła; pamiętam jak ślicznie wyglądała z tymi rumieńcami na policzkach, przebijającymi przez biały puder.

Od mojej wizyty w Korei Północnej upłynęło już prawie dwadzieścia lat. Starsza siostra, która na mój widok tak rzewnie płakała, umarła już; została mi tylko młodsza. Bardzo cierpię z tego powodu. Mam wrażenie, że serce mi topnieje.

Miałem zręczne ręce i potrafiłem sam szyć sobie ubrania. Kiedy nadchodziły mrozy, szybko robiłem na drutach ciepłą czapkę. Byłem w tym lepszy od kobiet, tak że nawet uczyłem starsze siostry, jak się to robi. Pewnego razu zrobiłem dla Hyo Seon na drutach ciepły szal.

Ręce miałem tak wielkie i grube jak niedźwiedzie łapy, ale bardzo lubiłem szyć i nawet potrafiłem sam uszyć sobie bieliznę. Brałem kawał materiału, składałem na poł, odpowiednio przykrawałem, obrębiałem, zszywałem — i gotowe. Kiedy zrobiłem w ten sposób dla matki parę tradycyjnych koreańskich skarpet, spodobały jej się tak bardzo, że zawołała: „No, no! Myślałam, że mój Drugi Syn tylko się objaja, a tu proszę! Świetnie pasują”.

W tamtych czasach trzeba było tkąć materiał bawełniany; była to część przygotowań do małżeństwa syna lub córki. Moja matka brała surową bawełnę, a następnie przędła ją na kołowrotku, żeby zrobić nici. W dialekcie prowincji Pyongyang nazywało się to *toggaengi*. Potem tkąta te nici na krosnach w dwadzieścia nitek i w końcu robiła dwanaście, trzynaście sztuk bawełnianej tkaniny... i tak dalej. Za każdym razem, kiedy kolejne jej dziecko się żeniło lub wychodziło za mąż, szorstkie ręce naszej matki tworzyły tkaninę bawełnianą, tak miękką i piękną jak atlas. Jej ręce były niewiarygodnie szybkie. Inne kobiety tkąły dziennie trzy, cztery sztuki materiału *toggaengi*, ale matka potrafiła ich utkać nawet dwadzieścia. Kiedy się spieszyła z przygotowaniem do ślubu jednej z moich starszych sióstr, utkała w ciągu dnia całą belę materiału. Matka była niecierpliwa. Kiedy sobie umyśliła, że coś zrobi, chciała, żeby to było skończone jak najprędzej. Odziedziczyłem po niej tę cechę.

Od dzieciństwa zawsze uwielbiałem jeść rozmaite potrawy. Kiedy byłem mały, bardzo mi smakowały kukurydza, surowe ogórki, surowe ziemniaki, a także surowa fasola. Kiedy byłem z wizytą u krewnych matki, którzy mieszkali o jakieś osiem kilometrów od nas, zauważyłem, że na polu rośnie coś okrągłego. Spytałem, co to, i odpowiedziano mi, że to *jigwa*, czyli słodki ziemniak.

Ktoś wykopał dla mnie jedną taką bulwę i ugotował na parze; zjadłem ze smakiem. Był tak smaczny, że zabrałem cały koszyk do domu i sam zjadłem wszystkie. Od następnego roku nie można mnie było odgonić od domu krewniaków na dłużej niż trzy dni; wołałem wtedy: „Mamo, wychodzę na trochę”; biegłem całą drogę do nich, byle tylko zjeść słodkie ziemniaki.

Tam gdzie mieszkaliśmy, w maju był okres „beziemniaczany”. Mogliśmy przeżyć o ziemniakach całą zimę, aż nadchodziła wiosna, kiedy zaczynaliśmy zbierać jęczmień. Maj był okresem krytycznym, bo jeżeli zapas ziemniaków się wyczerpał, zanim można było zebrać jęczmień, ludzie zaczynali głodować. Przetrawanie okresu, w którym zapas ziemniaków już był niewielki, a jęczmień jeszcze nie dojrzał do zbioru, przypominał wspinaczkę na stromą górę, nazywaliśmy go więc „przełęczą ziemniaczaną”.

Jęczmień, który wtedy jedliśmy, to nie był ten smaczny jęczmień o płaskich ziarnach, jaki teraz znamy. Ziarna były twarde i bardziej cylindryczne, ale nam i taki wystarczał. Moczyliśmy go w wodzie przez jakieś dwa dni, zanim go można było ugotować. Kiedy siadaliśmy do jedzenia, starałem się zgnieść ziarna łyżką, próbując, żeby się posklejały. Jednak na próżno, bo kiedy je w końcu nabrałem na łyżkę, rozsypywały się jak piach. Mieszałem je z *gochujang* (pastą z czerwonej papryki) i jadłem. Kiedy jednak przeżuwałem, ziarna jęczmienia nadal się przedostawały przez zęby, tak że musiałem trzymać usta mocno zamknięte.

Poza tym łapaliśmy i jedliśmy żabki nadrzewne. W tamtych czasach na terenach rolniczych dzieci karmiono drzewnymi żabami, kiedy po zachorowaniu na odrę ich buzie robiły się wychudzone z powodu utraty wagi. Bywało, że złapaliśmy trzy – cztery takie żaby, duże i z porządną ilością mięsa na tłustych nóżkach. Piekliśmy je owinięte w liście dyni; robiły się wówczas bardzo smaczne i delikatne, jakby je przyrządzono na parze w garnku do ryżu. Kiedy mówię o smacznym jedzeniu, przypominają mi się też wróble i bażancie mięso. Gotowaliśmy też piękne, kolorowe jaja górskich i błotnych ptaków, które latały nad polami z głośnym, bełkotliwym krzykiem. Właśnie tak wędrując po wzgórzach i polach, zacząłem rozumieć, że w naszym naturalnym otoczeniu jest mnóstwo pożywienia, które nam podarował Bóg.

Uczmy się miłości od Natury

Mam taki charakter, że o wszystkim, co tylko zobaczę, muszę jak najwięcej wiedzieć. Po prostu nie potrafię traktować czegokolwiek powierzchownie. Zaczynam na przykład myśleć: „Ciekaw jestem, jak się nazywa ta góra. Ciekaw jestem, jak tam jest — na jej szczycie”. Wtedy po prostu muszę tam pójść i sprawdzić. Jako dziecko wdrapywałem się na szczyty wszystkich wzgórz w promieniu siedmiu kilometrów od naszego domu. Zaglądałem wszędzie, nawet na drugą stronę gór. Dzięki temu, kiedy dostrzegałem jakąś górę jaśniejącą w promieniach porannego słońca, mogłem sobie wyobrazić, co jest na jej szczycie, patrzeć tam i czuć się szczęśliwym. Za to nie znośiłem oglądać miejsc, których nie znałem. Musiałem dobrze poznać wszystko, co byłem w stanie zobaczyć, sięgając jak najdalej. Inaczej czułem w umyśle niepokój, którego nie byłem w stanie znieść.

Kiedy chodziłem po górach, dotykałem wszystkie napotkane kwiaty i drzewa. Nie wystarczało mi tylko przyglądanie się; musiałem dotknąć kwiatów, wąchać je, nawet czasem wkładałem kwiat do ust i żułem. Zapachy, dotyk i smaki pasjonowały mnie tak bardzo, że nie przejąłbym się, gdyby ktoś mi kazał przytknąć nos do szczytki i tak go trzymać przez cały dzień. Kochałem zawsze naturę,

i to tak dalece, że za każdym razem, kiedy wychodziłem z domu, spędzałem cały dzień na wędrówce po wzgórzach i polach i zapominałem nawet, że muszę wracać do domu. Kiedy moje starsze siostry wybierały się na wzgórze, żeby zbierać dzikie warzywa, pokazywałem im drogę na szczyt i razem z nimi zbierałem rośliny. Dzięki tym doświadczeniom znam teraz wiele rozmaitych rodzajów dzikich jarzyn, które są bardzo smaczne i pożywne. Aby się prawdziwie radować cudownym smakiem *sseumbagwi* (dzika roślina kwitnąca, ceniona przez Koreańczyków ze względu na jej liście i korzenie), ważne jest uchwycenie odpowiedniego rytmu. Można ją mieszać z pastą z czerwonej fasoli i wkładać do miseczki z *gochujang bibimbap*, a smak będzie jeszcze lepszy. Kiedy się je *sseumbagwi*, trzeba je włożyć do ust i na parę sekund wstrzymać oddech. To czas potrzebny na to, żeby gorycz zniknęła, a na jej miejsce pojawił się nowy, pyszny smak.

Bardzo też lubiłem wchodzić na drzewa. Przede wszystkim wspinałem się stale na ogromne, liczące sobie dwieście lat drzewo kasztanowca, rosnące u nas na podwórzu. Lubiłem widok z najwyższych gałęzi tego drzewa. Mogłem stamtąd dostrzec nawet to, co już było poza granicami naszej wsi. Kiedy się wspinałem na ten kasztanowiec, nie miałem ochoty z niego schodzić. Czasami siedziałem na drzewie do późnej nocy, tak że najmłodsza z moich starszych sióstr musiała wychodzić z domu i robiła mi awanturę, tłumacząc jakie to niebezpieczne, i w ten sposób próbując mnie ściągnąć na dół.

„Yung Myung, zejdz, proszę” — mówiła. — „Jest późno, powinieneś już wrócić do domu i położyć się spać”.

„Jeżeli mi się zachce spać, będę spał tu, na górze”.

Nie obchodziło mnie, co mówiła; nie miałem zamiaru się ruszyć ze swojej gałęzi na kasztanie. W końcu traciła cierpliwość i wołała:

„Ej, małpko! W tej chwili zejdz na dół!”

Może dlatego tak przepadałem za wspinaniem się na drzewa, że się urodziłem w Roku Małpy? Kiedy na drzewie wisały pęki kolczastych kasztanów, z ułamaną gałęzią w ręku podskakiwałem i zrzucałem kasztany na ziemię. Pamiętam, że się wtedy świetnie bawiłem. Zawsze mi żal dzieci, które się nie wychowywały na wsi i nie znają takich przyjemności.

Przedmiotem mojej ciekawości były też swobodnie fruujące ptaki. Czasami przelatywały niedaleko jakieś wyjątkowo piękne okazy; wtedy chciałem się o nich dowiedzieć wszystkiego, co tylko można, jak wygląda samczyk, a jak samiczka. Nie było wówczas książek, z których mógłbym się dowiedzieć wszystkiego o drzewach, krzakach czy ptakach, wobec tego musiałem wszystko sprawdzać sam. Często opuszczałem posiłki, bo wędrowałem po wzgórzach i szukałem miejsc, do których przylatuje wędrowne ptactwo.

Kiedyś przez kilka dni co rano i co wieczór wchodziłem na drzewo i schodziłem z niego, badając gniazdo sroki. Koniecznie chciałem zobaczyć, jak sroka znosi w nim jajka. W końcu udało mi się ją podpatrzeć przy ich znoszeniu i wówczas się z nią zaprzyjaźniłem. Przez kilka moich pierwszych wizyt sroka witała mnie głośnym skrzekiem i denerwowała się, kiedy widziała, że jestem coraz bliżej. Ale później mogłem do niej podejść zupełnie blisko, a ona siedziała cicho.

Moimi przyjaciółmi były też miejscowe owady. Co roku pod koniec lata w górnych gałęziach drzewa persymony (kaki, śliwy daktylowej), które rosnęło tuż pod moimi oknami, odzywała się dźwięcznie cykada. Każdego lata się cieszyłem, kiedy głośne, irytujące brzęczenia innych rodzajów cykad, które hałasowały przez całe lato, nagle ustawały i ustępowały miejsca dźwięcznej pieśni jesiennej cykady. Jej pieśń przypominała, że wilgotna pora letnia wkrótce się skończy i nastąpi chłodna jesień.

Ich dźwięk brzmiał jak „Sulu sulululululu!” Kiedy tylko słyszałem taki śpiew jesiennej cykady, patrzyłem na drzewo persymony i myślałem: „Naturalnie, kiedy cykada zabiera się do śpiewania, musi to robić z jak najwyższego miejsca, tak żeby wszyscy we wsi ją słyszeli i cieszyli się. Przecież gdyby weszła do jakiegoś dołu w ziemi i śpiewała, kto by ją usłyszał?”

Wkrótce już wiedziałem, że zarówno brzęczenie letnich cykad, jak i jesiennej, dźwięcznie śpiewającej cykady, to dźwięki miłosne. Czy wołają „mem mem” czy „sulu sulu”, starają się w ten sposób przyciągnąć uwagę swoich partnerek. Kiedy się o tym dowiedziałem, za każdym razem, kiedy słyszałem, jak ten owad zaczyna śpiewać, nie mogłem powstrzymać śmiechu: „Och, zbiera ci się na miłość, co? No to dalej, śpiewaj i znajdź sobie dobrą żonę”.

Stopniowo się uczyłem, jak się przyjaźnić z przyrodą, ze wszystkimi jej przedstawicielami, tak abyśmy czuli nawzajem nasze serca.

Wybrzeże Morza Żółtego było zaledwie o cztery kilometry od naszego domu. Dostatecznie blisko, bym mógł je z łatwością dostrzec z każdego wzgórze w pobliżu. Wzdłuż ścieżki wiodącej do morza był szereg małych stawów, a między nimi płynął strumyk. Często grzebałem w błocie na obrzeżach tych stawów, w których woda była stęchła i nieświeża, by wyciągnąć węgorze albo słodkowodne kraby. Myszkowałem tak we wszystkich możliwych miejscach w poszukiwaniu rozmaitych wodnych stworzeń i w ten sposób się nauczyłem, gdzie żyją poszczególne gatunki. Na przykład węgorze z zasady nie lubią być widoczne, więc ukrywają swoje długie ciała w norach krabów i innych podobnych miejscach. Często się jednak zdarza, że nie mogą się tam pomieścić i wówczas ich ogony wystają na zewnątrz. Mogłem je z łatwością złapać — po prostu chwytałem węgorza za ogon i wyciągałem z jego schronienia. Jeśli w domu było większe towarzystwo, które chciało spróbować gotowanego na parze węgorza, drobnostką było dla mnie przebiec tam i z powrotem pięć kilometrów do stawów i przynieść do domu pięć węgorzy. W czasie letnich wakacji zdarzało mi się złapać w ciągu dnia nawet ponad czterdzieści sztuk!

Jednej z prac domowych jednak zdecydowanie nie lubiłem. Karmienia krowy. Często, kiedy mi ojciec polecał ją nakarmić, zabierałem krowę na łąkę w sąsiedniej wiosce, gdzie ją mogłem przywiązać i pójść sobie. Ale po jakimś czasie zaczynałem się o tą krowę martwić. Kiedy się oglądałem, widziałem, że nadal tam jest, dokładnie w tym miejscu, w którym ją przywiązałem. Stała tak przez pół dnia, rycząc i czekając na kogoś, kto by ją nakarmił. Słyszając z daleka jej ryk, czułem, że robi mi się przykro i myślałem: „Ta krowa! Co mam z nią zrobić?” Możecie sobie wyobrazić, jak bardzo chciałem nie zwracać uwagi na jej ryczenie. A jednak, kiedy po nią przychodziłem późnym wieczorem, nie była na mnie zła ani nie próbowała mnie pobóść rogami. Przeciwnie, mój widok ją bardzo radował. To mi dało do myślenia i doszedłem do wniosku, że ludzkie spojrzenie na główny cel w życiu powinno być takie, jak tej krowy. Cierpliwie czekaj na właściwy moment, a przydarzy ci się coś dobrego.

W naszym domu był pies, którego bardzo kochałem. Był tak mądry, że kiedy miałem przyjść ze szkoły do domu, wybiegał mi naprzeciw, chociaż byłem jeszcze całkiem daleko. A kiedy mnie zobaczył, szalał ze szczęścia. Zawsze go głaskałem prawą ręką. Wobec tego, nawet jeżeli się zdarzyło, że był po mojej lewej stronie, obiegał mnie naokoło, przechodził na prawo i ocierał się o mnie pyskiem, żebząc o pieszczoty. Wtedy klepałem go prawą ręką po głowie i plecach. Jeżeli tego nie zrobiłem, pies ze skowytem biegał naokoło mnie, gdy szedłem drogą. „Ty łobuzie!” — mówiłem. — „Wiesz dobrze, co to miłość, prawda? Chcesz, żeby cię kochać?”

Zwierzęta dobrze wiedzą, co to miłość. Czy widzieliście kiedyś kwokę siedzącą na jajach zanim się wyklują pisklęta? Kura ma oczy cały czas otwarte i tupie łapą w ziemię tak, żeby nikt się nie odważył do niej zbliżyć. Ja, zamiast uciekać, próbowałem kurę postraszyć. Kiedy już kilka razy wszedłem do jej kojca, kwoka po prostu udawała, że mnie nie widzi. Ale cały czas była nastroszona, a pazury miała długie i ostre. Wyglądała, jakby się chciała poruszyć i zaatakować mnie, ale nie mogła przecież zostawić jajek. Wobec tego po prostu siedziała, cierpiąc. Podchodziłem do niej blisko i dotykałem piór, ale nawet nie drgnęła.

Wyglądało na to, że jest zdecydowana nie ruszać się z miejsca do czasu, aż pisklęta się wyklują, nawet jeżeli to miało oznaczać, że pozwoli komuś powyrywać jej wszystkie pióra z piersi. Przez to, że kwoka jest tak trwale i niewzruszenie związana miłością ze swoimi jajkami, nawet kogut nie pozwala sobie wtedy, by robić, co zechce. Kura sprawuje całkowitą władzę nad wszystkim na ziemi, jakby mówiła: „Nic mnie nie obchodzi, kim jesteś. Uważaj i nie przeszkadzaj moim jajeczkom!”

Tak samo demonstracją prawdziwej miłości jest chwila, kiedy świnia rodzi prosięta. Przypatrywałem się śwince tak długo, aż mi się udało zobaczyć, jak rodzi swoje małe. W chwili, kiedy prosię się rodzi, maciora mocno prze z głośnym kwikiem i prosię wypada z niej na ziemię. Wtedy maciora wydaje kolejne głośne kwiknięcie i rodzi się drugie prosię. Podobnie jest z kotami i psami. Zawsze się czułem bardzo szczęśliwy, ilekroć widziałem, jak takie małe zwierzątko, które jeszcze nawet nie potrafi otworzyć oczu, przychodzi na świat. Nie mogłem się wówczas powstrzymać od radosnego śmiechu.

Z kolei widok śmierci jakiegoś zwierzęcia zawsze mi sprawiał cierpienie. Niedaleko od nas we wsi była rzeźnia. Kiedy krowa znalazła się w jej wnętrzu, nie wiadomo skąd pojawiał się rzeźnik i walił krowę w głowę żelaznym młotem wielkości ludzkiego ramienia. Krowa padała. W następnej chwili już była obdarta ze skóry, a nogi miała odcięte. Życie trzymało się jej jednak tak rozpaczliwie, że kikuty, pozostałe po odcięciu nóg, nadal drżały. Kiedy to zobaczyłem, łzy napłynęły mi do oczu i głośno płakałem.

Od dzieciństwa mam pewną szczególną cechę. Mogę wiedzieć o rzeczach, o jakich inni nie wiedzą, tak jakbym miał jakieś zdolności paranormalne. Jeżeli mówię, że będzie padało, na pewno będzie deszcz. Zdarzało się, że siedząc w domu, mówiłem: „Stary pan Taki-a-taki w sąsiedniej wsi dzisiaj się źle czuje”. I to zawsze okazywało się być prawdą.

Od czasu, kiedy miałem osiem lat, byłem już znany jako najlepszy swat. Wystarczyło, że zobaczyłem zdjęcia ewentualnej narzeczonej i narzeczonego, a już mogłem o nich wszystko powiedzieć. Jeżeli stwierdziłem „To małżeństwo nie będzie dobre”, a oni się uparli i mimo wszystko pobrali, później nieuchronnie się rozstawali. Jeszcze teraz kojarzę pary, chociaż już mam

dziewięćdziesiąt lat; i teraz mogę bardzo dużo powiedzieć o każdej osobie choćby tylko ze sposobu, w jaki siedzi albo jak się śmieje.

Jeżeli się skupiłem, potrafiłem powiedzieć, co w danej chwili robią moje starsze siostry. Więc, chociaż siostry mnie kochały, równocześnie bały się mnie. Uważały, że znam ich wszystkie sekrety.

Może się wydawać, że mam jakąś niewiarygodną paranormalną siłę, ale tak naprawdę nie ma w tym nic zaskakującego. Nawet mrówki, które często uważamy za nic nieznaczące stworzenia, przepowiadają nadejście pory deszczowej i uciekają w suche miejsca, gdzie mogą przetrwać. Ludzie żyjący w zgodzie z naturą powinni być w stanie przewidzieć, co ich czeka. To wcale nie jest trudne.

Obserwując uważnie gniazdo sroki można przewidzieć, z której strony będzie wiał wiatr. Sroka umieszcza wejście do gniazda po przeciwnej stronie niż ta, w którą będzie wiało. Znosi gałązki w dziobie i splata je w skomplikowany sposób, a następnie zbiera błoto i oblepia nim wierzch i dół gniazda po to, żeby deszcz się do niego nie dostał. Końce gałązek zaś tak układa, że wszystkie są skierowane w tę samą stronę. To działa jak rynna na dachu — dzięki takiemu ułożeniu deszcz stale spływa w jedno miejsce.

Skoro nawet sroki mają tyle mądrości, która im pomaga przetrwać, czyż nie byłoby naturalne, aby ludzie też posiadali takie umiejętności?

Ilekcio byłem z ojcem na targu krów, zawsze mówiłem: „Ojcze, tej krowy nie kupuj. Dobra krowa powinna mieć solidny kark i mocne przednie kopyta. Powinna mieć silne pośladki i plecy. Ta krowa tak nie wygląda”. I oczywiście tej krowy nie sprzedano. Ojciec mnie pytał: „Skąd ty to wszystko wiesz?” Odpowiadałem: „Wiedziałem o tym, już kiedy byłem w łonie mamy”. Oczywiście nie mówiłem tego poważnie. Jeżeli kocha się krowy, można o nich bardzo dużo powiedzieć.

Najpotężniejszą siłą na świecie jest miłość, a najwspanialszą rzeczą — zjednoczenie umysłu z ciałem. Wystarczy się wprowadzić w stan spokoju i skupienia umysłu, a gdzieś w głębi ciała znajdzie się miejsce, w którym umysł może spocząć. Trzeba tylko pozwolić swojemu umysłowi udać się tam — w to miejsce. Jeżeli umieści się w nim swój umysł i zaśnie, wówczas po obudzeniu jest się niezwykle wrażliwym. W takiej chwili powinno się odrzucić wszystkie zewnętrzne myśli i skoncentrować swoją świadomość. Wówczas będzie można się komunikować dosłownie ze wszystkim.

Jeżeli mi nie wierzycie, spróbujcie teraz. Każda forma życia na świecie szuka połączenia się z tym, co jej daje najwięcej miłości. Zatem, jeżeli jest coś, czego nie kochacie naprawdę, wasze posiadanie czy panowanie jest fałszywe i w końcu będziecie musieli z tego zrezygnować.

Rozmowa z owadami o wszechświecie

Spędzanie czasu w lesie oczyszcza umysł. Szum liści poruszanych wiatrem, dźwięk wiatru wiejącego w sitowiu, rechotanie żab w stawach — wszystkie te dźwięki to odgłosy natury; do naszego umysłu nie dociera żaden obcy dźwięk. Jeżeli opróżnicie swój umysł i całą swoją istotą będziecie chłonąć naturę, nic was z nią nie będzie dzieliło. Natura przychodzi do was i staje się z nią kompletną jednością. W chwili kiedy granica między wami a naturą znika, odczuwacie głęboką radość. Wówczas natura się staje wami, a wy — naturą.

Całe moje życie przechowywałem w pamięci takie doświadczenia jak bezcenny skarb. Nawet teraz wystarczy, że przymknę oczy, a wprowadzam się w stan jedności z naturą. Niektórzy to nazywają stanem *anātman* albo stanem „niebytu”, ale dla mnie jest to czymś więcej, ponieważ wtedy natura wnika we mnie i lokuje się w miejscu, które zostało przedtem opróżnione. Będąc w tym stanie słucham dźwięków, które natura mi przekazuje — szelestu sosen, dźwięków wydawanych przez owady pełzające po ziemi — i stajemy się przyjaciółmi.

Mógłbym pójść do wioski i poznać, bez spotykania kogokolwiek, stan umysłów wszystkich jej mieszkańców. Poszedłbym na pola otaczające tę wieś i spędził tam noc, słuchając tego, co mi powiedzą rosnące na tych polach zboża czy jarzyny. Widziałbym, czy tamtejsze uprawy są szczęśliwe czy smutne, i dzięki temu wiedziałbym, jacy są ludzie, którzy tam mieszkają.

Powodem, dla którego będąc w więzieniu w Korei Południowej czy w USA, a nawet w Korei Północnej nie czułem się osamotniony ani odseparowany od świata, było to, że nawet w więzieniu słyszałem dźwięki wiejącego wiatru, a także rozmawiałem z robactwem, które tam żyło razem ze mną.

Moglibyście spytać: „O czymże można rozmawiać z robactwem?” Oto nawet najmniejsze ziarno piasku zawiera w sobie zasady całego świata, a w unoszącej się w powietrzu drobinie kurzu można dostrzec całą harmonię wszechświata. Wszystko, co się znajduje wokół nas, narodziło się dzięki połączeniu sił — tak skomplikowanych, że nie jesteśmy w stanie ich sobie wyobrazić. Owe siły są ze sobą nawzajem ściśle powiązane. Nic we wszechświecie nie zostało poczęte w oddzieleniu od serca Boga. Najmniejsze poruszenie się listka mieści w sobie oddech wszechświata.

Od dzieciństwa, kiedy wędruję po łąkach i wzgórzach, mam dar współbrzmienia z dźwiękami przyrody. Natura wytwarza jedyną w swoim rodzaju harmonię i wydaje wspaniałe, piękne dźwięki. Żaden z nich się nie wyróżnia ani też żadnego się nie pomija; jest to po prostu idealna harmonia. Ilekroć mam jakieś trudności, natura mnie pociesza; ilekroć wpadam w otchłań rozpacz, pomaga mi się z niej wydobyć.

Obecnie dzieci wzrastają w środowiskach miejskich i nie mają okazji poznać bliżej natury, ale rozwijanie ich wrażliwości na przyrodę jest tak naprawdę nawet ważniejsze niż poszerzanie wiedzy. Bo jaki cel może mieć udostępnianie edukacji uniwersyteckiej dziecku, które nie potrafi czuć natury w sercu i którego wrażliwość jest przytępiona? Człowiek odseparowany od przyrody może gromadzić książkową wiedzę z różnych źródeł, po czym zostanie po prostu samolubem, ceniącym wyłącznie dobra materialne.

Trzeba wyczuwać różnicę pomiędzy dźwiękiem wiosennego deszczu, którego uderzenia przypominają łagodny szept, a padaniem deszczu jesienią, kiedy uderza z hukiem i łomotem. Można powiedzieć, że prawdziwy charakter posiada tylko ten człowiek, który chce wejść w harmonię z naturą. Kwitnący przy drodze złocisty mlecz jest cenniejszy niż całe złoto świata.

Powinniśmy mieć serce, które wie jak kochać przyrodę i jak kochać ludzi. Ten, kto nie potrafi kochać ani przyrody, ani ludzi, nie jest również w stanie kochać Boga. Wszystko w stworzonym świecie jest wcieleniem Boga na poziomie symbolu, a istoty ludzkie są szczególnie ważne, bo zostały stworzone na podobieństwo Boga. I tylko ten, kto kocha przyrodę, potrafi kochać Boga.

Nie cały czas spędzałem na wędrowaniu po wzgórzach czy łąkach i na zabawie. Ciężko pracowałem — pomagałem starszemu bratu w pracy na roli. W każdym gospodarstwie wiejskim jest mnóstwo zajęć, które koniecznie trzeba wykonać o określonej porze. Pola ryżowe muszą być najpierw zaorane. Sadzonki ryżu trzeba przesadzać, a chwasty wyrwać. Przy pieleniu chwastów najtrudniej jest wyplewić pole prosa. Po obsianiu go, każdą bruzdę trzeba oczyścić z chwastów co najmniej trzy razy, a to wręcz katorżnicza robota. Kiedy kończyliśmy, przez dłuższy czas nie mogliśmy wyprostować grzbietów.

Słodkie kartofle nie są smaczne, jeżeli sadi się je w glinie. Jeżeli chcemy wyprodukować najsmaczniejsze słodkie kartofle, powinniśmy je sadzić w glebie zawierającej jedną trzecią gliny i dwie trzecie piasku. Najlepszym nawozem dla kukurydzy są odchody ludzkie, musiałem więc zakasać rękawy i rozdrabniać te odchody na drobne części. Pomagając przy pracach rolnych uczyłem się, czego potrzeba, żeby fasola jak najlepiej rosła, jaki rodzaj gleby jest najlepszy dla soi, a jaki dla czerwonej fasoli. Teraz jestem rolnikiem z krwi i kości.

Prowincja Pyongan jako jedna z pierwszych w Korei przyjęła kulturę chrześcijańską. Zauważalnym wpływem było to, że już w latach trzydziestych i czterdziestych XX wieku pola miały prostokątne kształty. Do przesadzania sadzonek ryżu używaliśmy pala z podziałką na dwanaście równych części, które wskazywały, gdzie mają iść rowki; pal ten kładliśmy w poprzek pola. Dwóch ludzi przesuwano się wzdłuż pala, a każdy z nich sadił sześć rzędów sadzonek.

Później, kiedy przedostałem się do południowej części Korei, zobaczyłem, że tam kładą sznurek w poprzek pola i potrzebują do sadzenia tuzinów ludzi. Wydało mi się to bardzo nieskutecznym sposobem. Potrafiłem rozstawić nogi na podwójną szerokość ramion i w ten sposób sadzić o wiele szybciej. W porze przesadzania sadzonek ryżu byłem w stanie zarobić tyle, że mi starczało na pokrycie opłat za szkołę.

Gorliwy uczeń

Kiedy skończyłem dziesięć lat, ojciec posłał mnie do tradycyjnej szkoły w naszej wsi, gdzie stary nauczyciel uczył nas klasycznych chińskich znaków. W tej szkole trzeba było codziennie nauczyć się na pamięć tylko jednej broszurki. Potrafiłem się tak skoncentrować, że zapamiętywałem wszystko w ciągu pół godziny. O ile zdołałem wyrecytować zadaną lekcję stojąc przed nauczycielem, byłem już tego dnia wolny. Kiedy wczesnym popołudniem nauczyciel ucinął sobie drzemkę, mogłem wybiec ze szkoły i iść na spacer po wzgórzach i łąkach. Im więcej czasu tam spędzałem, tym lepiej wiedziałem, gdzie można znaleźć jadalne rośliny. W końcu zjadałem ich tyle, że już nie musiałem chodzić na obiad, i w ten sposób przestałem jadać obiady w domu.

W szkole czytaliśmy Analecta (wybór z pism) Konfucjusza oraz prace Mencjusza, uczono nas też znaków chińskiego alfabetu. Wyróżniałem się w pisaniu tak bardzo, że kiedy miałem dwanaście lat, nauczyciel kazał mi wykonywać wzorcowe znaki, a reszta uczniów je przepisywała. Właściwie chciałem chodzić do szkoły państwowej, a nie do tradycyjnej wiejskiej. Czułem, że nie powinienem wyłącznie uczyć się na pamięć Konfucjusza i Mencjusza, podczas gdy inni budują samoloty. Był kwiecień i mój ojciec opłacił już chesne za cały rok z góry. Chociaż o tym wiedziałem, postanowiłem rzucić wiejską szkołę i uporczywie przekonywałem ojca, żeby mnie wysłał do szkoły państwowej. Staralem się przekonać do mojego pomysłu także dziadka, a nawet wuja.

Żeby się przenieść do szkoły państwowej, musiałem zdać egzamin. A żeby się do tego egzaminu przygotować — musiałem uczęszczać do szkoły przygotowawczej. Jednego ze swoich młodszych kuzynów namówiłem do pójścia tam razem ze mną i obaj zapisaliśmy się do Wonbong, prywatnej szkoły, która miała nam pomoc w przygotowaniu się do egzaminu do szkoły państwowej.

W kolejnym roku, kiedy już miałem czternaście lat, zdałem egzamin i przeszedłem do trzeciego oddziału szkoły w Osan. Zacząłem moją edukację z opóźnieniem, ale ciężko pracowałem i udało mi się przeskoczyć od razu z trzeciego oddziału do piątego. Z naszego domu do szkoły w Osan było osiem kilometrów, ale nie opuściłem ani jednego dnia, a nawet nigdy się nie spóźniłem. Codziennie grupa innych uczniów czekała na mnie na wzgórzu w drodze do szkoły. Szedłem jednak tak szybko, że innym trudno było dotrzymać mi kroku. Tak przebywałem tę górską drogę, o której mówiono, że czasem się na niej pojawiały tygrysy.

Szkoła w Osan była nacjonalistyczną szkołą, założoną przez Yi Sung Huna, działającego w ruchu wyzwoleniowym. Nie tylko nie uczono nas tam japońskiego, ale uczniom po prostu zabraniano mówić w tym języku. Miałem na ten temat inne zdanie. Uważałem, że skoro mamy pokonać naszego nieprzyjaciela, powinniśmy go dobrze poznać. Zdałem kolejny przejściowy egzamin i dostałem się do czwartej klasy publicznej szkoły normalnej w Jeongju. W szkołach publicznych wszystkie lekcje prowadzono po japońsku, tak że musiałem się nauczyć na pamięć *katakana* i *hiragana* w nocy przed pierwszym dniem zajęć. (*Katakana* i *hiragana* to dwa różne alfabety używane w Japonii). Nie znałem zupełnie japońskiego, więc wziąłem podręczniki z klas od jeden do cztery i nauczyłem się ich na pamięć w dwa tygodnie. To mi pomogło zacząć rozumieć ten język.

Kiedy kończyłem szkołę średnią, mówiłem już płynnie po japońsku. W dniu promocji zgłosiłem się dobrowolnie z propozycją, że wygłoszę przemówienie wobec wszystkich znacznych mieszkańców Jeongju. Zwykle w takiej sytuacji uczeń mówi o swojej wdzięczności za pomoc otrzymaną od nauczycieli i od szkoły. Ja tymczasem zwracałem się do każdego z nauczycieli po kolei z nazwiska i krytykowałem ich, wskazując, dlaczego szkoła nie jest prowadzona tak, jak powinna. Mówiłem też o naszym miejscu w historii i o tym, jakiego rodzaju determinacją powinni się odznaczać ludzie na odpowiedzialnych stanowiskach. Całe to raczej krytyczne przemówienie wygłosiłem po japońsku.

„Japończycy powinni jak najszybciej się spakować i wracać do Japonii” — mówiłem. — „Odziedziczyliśmy ten kraj po naszych przodkach i wszystkie przyszłe pokolenia naszego narodu muszą tutaj żyć”.

Wypowiadałem te zdania w obecności szefa policji, szefa prowincji i burmistrza miasta. Musiałem się wrodzić w swojego ciotecznego dziadka Yoon Guk Moona, bo mówiłem to, czego nikt inny nie odważył się dotąd powiedzieć. Publiczność była w szoku. Kiedy schodziłem ze sceny, zauważyłem, że ludzie na widowni pobladli.

Tego dnia nic mi się nie stało, ale potem zaczęły się kłopoty. Od tej chwili japońska policja uznała mnie za osobę podejrzaną i zaczęła mnie śledzić, co było prawdziwym utrapieniem. Później, kiedy próbowałem pojechać do Japonii, by dalej studiować, szef policji odmówił postawienia stempla na potrzebnym mi formularzu i to było powodem trudności. Zrobił tak, gdyż uważał mnie za człowieka niebezpiecznego, który nie powinien podróżować do Japonii. Odbyłem z nim

Wielebny Sun Myung Moon „Jako Miłujący Pokój Obywatel Świata”

gwałtowną dyskusję i w końcu go przekonałem. Dopiero gdy postawił na moim formularzu pieczęć, mogłem pojechać do Japonii.

www.kosciolzjednoczeniowy.pl